TYGODNIK

WILEŃSKI

Ner 80.

Dnia 27 Maja 1817 roku. v. s.

LIST

DO REDAKTORA TYGODNIKA WILEŃSKIEGO.

z Oszmiany, 19. Maja.

Mości Panie Redaktorze!

Ponieważ w osobie swojêy WPan przedstawiász nám samégo Tygodnika, do niégo mi się udadź naybardziéy przystoi. Nié wiém, czy to przepowiedzenie dobrego lub złego, kray nasz jednak zbytecznie peryodyczne zagęściły pisma. Może to smák bardzo wydoskonalony, a może i kryzis gorączki tych głów, któré my w Powiecié naszym Autorámi zowiémy. Doniósł mi jednak móy przyjaciel, co świéżo z Wilna powrócił, iż miał tam długą dość rozmowę, ze starym jednym znajomym, sławnym w mieście Księgarzem. Uskarżał się mocno nieborak, że u WWPanów wiele się bardzo rozumnych głów namnożyło, przez co handel książkami upadł práwie zupełnie. Pu-

bliczność na dwie wiélkié podziéla się klassy. Jedną składają myślący o wielkich rzeczách, i ci którzy na karnawał lub kontrakta przybywszy, dotąd się albo wesoło bawią albo odegrywáją, i ci którzy się roskoszóm miasta oddali żyjąc jedynie dla wesołości, i zajęci obowiązkami wielkiemi urzędnicy i mnóstwo w kraju i za granicą chorujących i dwa razy tyle Doktorów etc. etc. etc. Drugą a naywiększą połowę, sami dla potomności piszący zaymują. A z tąd zupełny brak czytających.

Księgarnie bliskie są pobankrutowania. Jest ci to wprawdzie naypewniéyszy sposób porobienia gwałtem wielkich Literatów z ich wierzycieli, którym się księgi z exdywizyi dostaną; co do mnie jednak wedle świętéy sprawiedliwości repetycyą prostobym dla nich, na pamiętnikach, rocznikach, tygodnikach, dziennikach, a może wkrótce godzinnikach i minutnikach zasądził. Daleki od naganienia tego pism mnóstwa, których i sam dokładnie znać nie mogę.

Vos libraires, eux seuls, connaissent tous vos écrits.

Pozwól WPan do niego szczególnie obrócić moją uwagę. Dowiedzioną przez Oyców naszych rzeczą, iż naygorsza jest z góry rzemieślnikowi płacić. Aby czém tylko zbywać chce pod koniec. Ja mam dwie córki i syna. Są młodzi. Zapłaciłem z góry,

prenumerując Tygodnik, za to wszystko, co WPanowie tylko mądrégo przez rok cały zrobicie. Odkrywam jednak podstęp szkaradny. WPanowie coście tylko rozumnego wykoncepowali, chowacie w nadziei ułowienia nowych Prenumeratorów, dawszy odmienny tytuł temu, cośmy już zawczasu zakupili. Nasz Pan Cześnik tak mocno o to się gniewa, że dowiedziawszy się, iż w takich sprawach Konstytucya 1764. pozwala forum ubiquinarium, da WPanom pozew aż do Szawel, a kiedy, jeszcze jedno Sędziom wyprawi śniadanie, to pewno uzyszcze dekret, że Ichmość same tylko rozumne rzeczy w Tygodniku umieszczać przymuszani będziecie. Ja chcąc mieć pismo to, dla moich dzieci, spodziewałem się znaleść w niém, pod przyjemną barwą surowe moralności przepisy, podane w sposób zaymujący i jedynie podobający się młodzieży; trzeba więc bawić. Niech wady czasu dowcipnie wyszydzone, obmierzi młodź sobie, które nie przestrzeżona, bierze za etykietalne cnoty. Niech pozna jaka jest różnica między moralną powinnością człowieka, wspomożenia cierpiącéy ludzkości, a etykietalną powinnością nie przyjęcia *np.* piérwszéy wizyty. Niech to zna młodzież, i niech to zna przez WW. Panów którzy piszecie. Pod postacią bawiącéy, mowię, powieści, wady wychowania i zwyczajów, obnażone z przywilejów upow-

szechnienia, wydadzą się w całéy swojéy śmieszności, a WPan tém zwyciężysz wszystkie inne jakiekolwiek pisma, iż sam jeden będziesz czytany. Nagrodą WPana będzie skierowanie serc młodych ku rozumnéy przystoyności. Że to piszę, mam poniekąd słuszny aż nadto powód; a nawet się i wyłożyć go nie waham. W przeszłą niedzielę byłem u P. Podkomorzego, sąsiada i przyjaciela mojego. Na samym wstępie znalazłem cały dom w zamieszaniu przyczyną tego były spazmy Podkomorzanki w mieście na dobrym wychowanéy tonie, dało do tego powód zganienie przez P. Podstolinę teraźnieyszéy dziwacznéy edukacyi i zwyczajów. Wiedzieć trzeba, iż P. Podstoli zruynował znacznie majątek przez staropolską rzetelność; zostając w ostatniéy potrzebie, ciężką złożony chorobą, oddał ostatnie wierzycielowi pieniądze dla tego, żeby się nie pokazał nierzetelnym. Żona pobiegła do Wilna, gdzie krewna jéy Pani Marszałkowa X. będąc winną, a wiedząc o smutnym Podstolich położeniu, kilką już dniami piérwiéy oznaymiła, iż chce uiścić się z długu. Leciała co prędzéy uścisnąć swoją Dobrodzikę Podstolina; ale z przedpokoju damy odprawioną została, gdyż to nie jest dobrego tonu piérwszą przyymować wizytę. Rospaczająca podstolina, nie wiedziała co począć w tak okropném położeniu, doniosła listem Marszał-

kowéy, o jéy potrzebie i o stanie męża, którego doktorowie na kredyt leczyć nie chcą; „ z naywiększą roskoszą dopełnię mojéy powinności, odpowiedziała Marszałkowa, oto mam leżące pieniądze.” Oznaymują nazajutrz, iż P. Marszałkowa X. przyjechała z rewizytą. ” Bardzo proszę do mnie, ” krzyknęła uradowana staruszka i kazała natychmiast gotować się do wyjazdu, aby ratowała słabego męża „ proście P. Marszałkowę X.” Ale Marszałkowa wiedząc, że *selon les regles du bon genre* Podstolina nie powinna była przyjąć piérwszéy rewizyty, wsiadła do Karety w nocnym dezabilu; kazawszy więc zawrócić konie i śpiesznie pojechała do domu wyklinając cały nasz powiat. Nim przyszło z reguł etykiety do oddania pieniędzy, doniesiono Podstolinie, iż Mąż już prawie umiera bez pomocy zostawiony. „ A jakże inaczéy miała postąpić, krzyknęła na to opowiadanie Podkomorzanka, czyż lepiéy było przyjąć piérwszą Podstolinéy wizytę; cóżby ona sama o tém pomyśléć mogła? ” to ją wprawiło w mdłości i spazmy. Ja, że z Tygodnikiem do Podkomorzego wedle zwyczaju przyjechałem; siedliśmy około niéy do czytania onego; gdy inni ziewali, Podkomorzanka tymczasem usnęła. Po śnie pułgodzinnym przebudziła się w zupełnym zdrowiu. Podkomorzy był nie skończenie kontent z tego Tygodnika skutku; i nawet oświadczył mi, iż

umyślnie dla uśmierzania łagodnym snem spazmów córki jutro pośle i nadal go prenumerować i hurtem przeszłe zakupić numera. Bojąc się złego dla moich dzieci przykładu tych i tym podobnych śmieszności modą uprzywilejowanych, chciałbym iżbyście WPanowie zaczęli dla dobra moralności w podany tu sposób pracować. Jeżeli się nie będzie mu to wydawać godném jego uwagi, naypokorniéy przeto upraszam, za te co wyszły numera i co już jest gotowego, sumiennie tylko, odrachować sobie, a resztę pieniędzy mnie odesłać.

Mam honor. etc.

Februariusz.

OSWIADCZENIE NIZEY PODPISANEY.

Dat veniam corvis, vexat censura columbas.

Cóżem ja winna, Panie Recenzencie Teatru Wileńskiego, iż WPan jedynie do mnie złośliwe obróciwszy pióro, same tylko moje zganiłeś postępowanie? Jeżeli WPan po piérwszym zaraz akcie dowiedziawszy się całéy intrygi, bogoboynie zasnąłeś, czy też z parteru wyszedłeś! za cóż mi jednéy wyrzucasz przewlekłość dialogu i gorszącego z kochankiem umizgi. Zdaję się na sąd mojéy płci pięknéy, jestem albowiem kobiétą, czy którakolwiek mojego wieku mniéy gada, albo podobne opuszcza okolicznośći. WPan nadto jesteś nie dobry. Co

do mnie tak jak Doryna Tartiuffowi którego widok jéy gorsu do złych myśli pobudzał, i jabym WPanu powiedziała. (1)

Na cielesne widoki za zbytnieś drażliwy,
Gdy wielkie na WPanu to czyni wrażenie.
Niewiem czyli to święte jest w nim uniesienie.
Ja tak czułą w tym razie nie byłabym pono,
I gdyby go od głowy do stóp obnażono,
Zadna mi się myśl grzeszna pewno nie nawinię.

Należało więc dla mojéy płci zachowawszy przystoyne względy, powiedzieć raczéy, żeś się znudził nie z przyczyny mojéy (kobiéty bowiem nudzić nie mogą) ale naprzód: błaznowanie i junakierya studencka, bez smaku i celu Rochemonta, i rola jego bez związku naymnieyszego ze sztuką; dziecinne i śmiechu godne pojedynkowanie starego żołnierza z aplikantem (O wielki tryumfie zwycięża pielgrzym). Zadziwiaż widzów? Jakaż machyna działająca na serca życzyła mu tego zwycięztwa? pocóż potrzebny był brat Pielgrzyma, czy żeby mu na popasie pożyczył do zwyciężenia jednego szubrawca, swego pałasza? Byłże brat wzpólnikiem wyciśnienia na czułych sercach łez do których gra P. Bogusławskiego, choć w tak niskiéy roli, miała prawo? Rozmowy dzieci kopiowane z Berkina. Oskarżenie Aplikan-

(1) Tartuffe. Acte III. Scene III.

ta przed policyą zachwiałoż na jeden moment interes? nie zapewna, bo jego nie było. Pomagałoż to do intrygi? Ta się w téy scenie na nowo miała zacząć, ale się nie zacząwszy prawie, skończyła. Tłómaczenie nędzne, gallicizmów i płaskich pełno wyrażeń. To go raczéy nudzić powinno było, nie zaś ja! ja kobiéta! Należało bowiém, powiedzieć kto śmiał tę sztukę nazwać komedyą, kiedy ona jest bardziéy tém co zowie zły gust dramą, a o czémby raczéy, widowisko, któremu trudno dać nazwisko, powiedzieć przystało. Oburzyć się trzeba było, że Pisarz śmiał wprowadzić na teatr miłość nie prawą i jéy nieszczęśliwy owoc. Możnaż dobrym sercem chciéć wzruszyć (bo taki był podobno cel Autora) niewinne serca, nie zepsutą jeszcze po łożach młodzież przedmiotem, który czysta moralność, prawa i starowne wychowanie jak naydaléy od oczu niewinności oddalać powinny? Możnaż bezkarnie dawać takie wyobrażenia, tym którzy jeszcze nie znają zbrodni, i chcieć interesować za występkami, które moralna edukacya obmierzać zawszasu każe. Zadziwi może to WPana, że tak śmiało piszę.

Sama tylko moja obrażona nie winność i wstyd Panieński może natchnąć mię do tego stopnia, iż z JP. Recenzentem wykrzyknę Anch' io son scrittore.!

Małgorzata, służąca w Komedyi
Małżeństwo Pielgrzyma.

METROMANIA

czyli

Zapał do Wierszów, Komedya Alexego Pirona

(tłómaczenia SSS.)

Scena w domu wieyskim tuż za Warszawą.

AKTU I. SCENA I.

Anielka, Omega.

O. Slicznyć domek pod miastem! i mocno się smucę
Iż razem piękny widok i ciebie porzucę.
Czas w dalsze za mym Panem wyruszyć już zwiady;
Choć mię twoich moc oczu niepoczciwych trzyma,
Lecz gdy tu wiadomości żadnéy o nim nié ma:
Lecę źwiedzić teatra, bale, promenady,
Trząść go w całéy Warszawie i na Nowym Swiecie.
A. Jakże się wasz nazywa panicz romansowy?
O. Zbigniew. Nieznasz go?
A. Wcale.
O. Bądź zdrówa!
A. Bądź zdrówy.
O. *Powracając.* Lecz u Pana Sredniowki miałci on bydź przecie?
A. Jak to? tu?
O. wy, u siebie gracie komedye?
A. Uczę się nawet roli; nie grałám jak żyję.
O. U Pana jedynaczka jest córka Ludwisia?
A. Jest.

O. I dzisiay z klasztoru powróciła?
A. Dzisia,
O. Wielu się o nią stara?
A. I warta jest tego.--
O. U was jest pełno gości?
A. Co ją widzéć biegą,
O. Bal, Koncert, Maskarada?
A. Tak jest w rzeczy samyi,
O. Że u was on bydź musi wszystko mi dowodzi.
Chwała bogu na próżno przecież nie latamy.
A. Jegoż postać? charakter? twarz? lub jak on chodzi?
O. Tego to ci opisać nie potrafię zgoła.
Jak chcesz? mądra i głupia, smutna i wesoła.
Gdy mu w łeb, boże odpuść czym tam napełniony;
Nie léźié rym, sredniówka, albo myśl głęboka,
Raz się staje pociągła, to znów zbyt széroka:
Tu jest kapcan, tu stroyniś jak modne bizóny,
Żadnym się nié zaymuje urzędem ni stanem,
Ani on jest polakiem, ani bisurmanem,
Zupełnie nawet do nas nie podobny człowiek;
Ani Xiądz, ani derbisz, ni szlachcić od roli,
Męczy się, czasem całą noc nie zmruży powiek,
Chodzi, poci się, nie je i ciągle gryzmoli,
A słowem nic nie robi, choć ciągle zajęty;
Zawsze myśli, a goły jak turecki święty.
Odludka mu i trzpiota można dadź nazwisko;
Zbyt grzeczny, i chełpliwy; zawsze roztargniony;
Założyłbym się nawet jeżli jest gdzie blisko,
To gdzieś oczy przewraca, i strzela gawrony:
A bujając myślami wyżéy nad obłoki
Chodzi, słowa przekłada przekręca i mierzy,

Nie widząc pnia pod nosem o dwa lub trzy kroki.
Nie piérwiéy go postrzeże, aż weń łbem uderzy.
A. Jest tu jeden, co wszystkie ma takie zalety.
Czy nie z tych to jchmości, co się zwą poety?
O. Aha!
A. Jest jeden.
O. To on.
A. A może też i nie.
O. A to czemu?
A. Twóy opis wprawdzieć się z nim zgadza,
Lecz się on nie zwie Zbigniew,
O. Nic to nie przeszkadza,
Prowadź mię chcę go widziéć.
A. Tego nie uczynię.
Ktoś idzie: trzęba plotek lękać się na świecie;
Sami go ot w tym blizko gaiku zdybiecie.
(*Omega odchodzi.*)

TEGOZ AKTU SCENA III.

WALERY, ZBIGNIEW.

WALERY.

Czas krótki, przyjacielu, będę ciebie prosił, ...
Z. Nie, nigdy mię dzielniéyszy zapał nie unosił;
Ze wszystkich co dla ciebie napisałem wiérszy,
Ten ma zwycięzką palmę, ten słusznie naypiérszy.
W. Idzie mi. . . .
Z. (*zawsze przerywając*). O Sielankę. Już jest napisana.
W. Zbyt prędkiś.
Z. Pracowana i wypracowana.

W. Wierzę....

Z. Wartość jéy wielkie wrażenie tu sprawi.

W. Lecz....

Z. Naylepszy tu krytyk w niczém nie poprawi.

W. Lecz ja żądam od ciebie.....

Z. Żeby tam cóś było

Czułego, szlachetnego.

W. Tracąc cierpliwość.

Eh! mi się sprzykrzyło

Słuchać takiéy gawendy; chcę do niego planu....

Z. Słyszeć ją? więc natychmiast przeczytam WPanu.

W. Ja się na tém nie poznam.

Z. Gust cię nie omyli.

W. Jam głuchy.

Z. Będę krzyczał.

W. Daremnie.

Z. Półchwili.

W. Czy oszalał!

Z. Chrząka.

He! (*czyta zbyt głośno*) Mopsus i Echo, Jdyla

Mopsus.

W. Póydźże do licha, mnie droga jest chwila.

Z. *z uniesieniem.*

„Czułe Echo, co wdzięczysz te cieniste gaje!„

W. Cicho! powiada Echo. Porzuć te ambaje,

Ja chcę....

Z. Jak to? gdym pisał na żądanie jego.

W. Ale ja od WPana chcę czego innego.

Z. *z prędkością.*

Ody? Listu, Kantaty?

W. Ey gdzież tam!

Z. Sonetu?
W. Dla Boga!
Z. Czy Satyry psalmu, tryoletu?
Epopei, nadgrobka, Elegii?
W. Ale....
Dytyrambu, Prologu, Komedyi?
W. Nic wcale.
Odtąd mojéy miłości roskoszne zapały,
Nie będą się językiem jego wykładały....
Z. Kiedy tak! to Jdyla przy mnie pozostanie.
W. Czuję, ilem powinien, twą dobroć, staranie,
Mocno pracy żałuję....
Z. Owszem! zda się ona
Mam i ja komu złożyć. Rzecz nie jest stracona,
W. Więc WPan kochasz?
Z. Kochać w życiu nie umiałem,
Lecz czułość naypięknjeyszym jest naszym udziałem
Prawych poetów serce rozpala się żywo,
Ile się potrafi czuć miłość prawdziwą,
Tyle też nim bydź można.
W. (to ón mym rywalém,)
(*głośno*) Boginiż téy imienia czy nié można wiedzieć?
Z. WPan mi swojéy wprzódy nie chciałeś powiedzieć.
Niechże mu też i moją utaję choć z żalem.
W. A los?
Z. Jak tylko myślą pożądać możnaby.
W. Jego talent dla czułych kobiét mà powaby.
Z. Ten dzień mu nawet wielkié wypadki objawi.
W. Ten dzień?

Z. Jest dla mnie ważnym.
W. (To o niéy! zginołem!)
(*Głośno*) Odmaluy wreszcie przedmiot, co jest twym żywiołem!
Z. Chciałbym.
W. Więc czemuż? (w grób mię ta oziębłość wprawi)
Z. Nié mogę.
W. Jak to?
Z. Nigdym jéy nie widział w oczy,
W. (To ona!..) *głośno*. Mów mi!
Z. Samo się wkrótce wytoczy.
W. Zkądże się wziął w twéy duszy ten zapał tak tkliwy.
Z. Z jéy gustu do poezyi.
W. (O! ja nieszczęśliwy!)
Głośao z pomieszaniem.
Z jéy gustu do poezyi? (tym mię dobił ciosem)
Z. Cóż znaczą te tak czułe westchnieniá pod nosem?
W. Zbyt daleko od mégo zboczyliśmy celu.
Słucháy więc, co po tobie żądam przyjacielu!
Z. Powiédź mi prędzéy. Wszystko zrobiciem gotowy
W. Do sztuki co Starosta z swojéy zrobił głowy
W grających mię aktorów umieść, proszę, rzędzie.
Czuję, że mi w oddániu talentu nie zbędzie,
Chciałbym siebie doświadczyć.
Z. A więc pôydź doń zemną.
W. Gdy się dowié kto jestem, pewno się nie zgodzi.

Z. Ta zbyteczna wiadomość niech będzie tajemną,
Jesteś mym przyjacielem; o cóż więcéy chodzi?
Czego żądasz koniecznie, uczynić ci muszę.
On człek dobry, i tylko Bogu winien duszę.
Przykład w nim prawdziwego znaydziesz przyjaciela,
Dobrega Oyca, męża, i obywatela.
Lecz jak zawsze tór rzeczy ludzkich przyrodzony,
Z któréykolwiek śmiészności chce uniżyć strony,
I on też niedowolny poczciwych zaletą,
Kiedy dostał pedogry, chciał zostać poetą.
Jeżli smiéją poezyą, to nazwać nieuki,
Co wstydem dla rozumu, hańbą jest dla sztuki.
Ta go słabość fałszywym tak swym blaskiem mami,
Iż ciągle okrutnémi nas dusi wiérszámi.
O wielkiéy swéy komice w dobréy będąc wierze,
Gdy je czyta, za boki ze śmiéchu się bierze.
Skrzywże się: wnet zaczyna dąsać się i zżymać,
Smiać się musisz, chociażbyś chciał szczęśliwie drzymać;
Gdy ci się niechcąc jakoś uśmiéchnąć wydarzy,
Chce byś sobie przepisał z parę exemplarzy,
Wpada w zapał, a kiedy coraz silniéy rośnie,
Zbije słuchacza swoim wiérszém nie litośnie.
W. Nic to nie znaczy, jestem naycierpliwszy z ludzi,
Ja go prędzey pochlébstwem, niż on wiérszém znudzi.
Z. Ja zaś się od nich krztuszę, słabieję i padam,

W. Cóż cię trzyma u niego?
Z. To czego nie gadam.
Gdybym się wściekłéy Muzy nie lękał pogromu,
I owszem gościć w jego podobałbym domu;
Szczęśliwy, od obłudy w tym wolnym zacieniu,
Roskosznemu móy umysł oddałbym marzeniu.
On idzie. Na wspomnienie strasznéy drżę ramoty
Którą wypchał kieszenie wszystkie swéy kapoty.

(Ciąg dalszy późniéy).

Dozwala się drukować z warunkiem dostawienia do Komitetu Cenzury siedmiu exemplarzy dla miéysc prawem wyznaczonych. Dnia 25 miesiąca Maia roku 1817.

August Becu Prof. Ord. Czł. K. C.